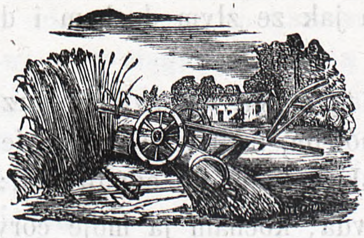
Tom IV. 11. Lipca 1871. Nr. 2.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

# DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

## Dwie siostry.

Jacenty Ziemba dobry *i* wzorowy gospodarz, pobożny i pracowity człowiek, lubionym i szanowanym był nietylko w całem siele, ale w całej okolicy Dąbrowy znanym był ze swej uczciwości. Do niego udawał się każdy w potrzebie po radę i pomoc, i on też nikogo nie puścił od siebie bez serdecznego słowa lub też szczerego poratowania. I żona Jacentego była zawołaną gospodynią, i dobrą towarzyszką życia swego męża.

Jednak mimo że Jacenty był zamożnym i powszechnego używał szacunku, czasami gdyby chmurka na niebie osiadał smutek na jego czole i w tęsknej zadumie siadywał samotny pod swą strzechą. Tak spoglądał on nieraz na swój dobytek, na bydło wracające z pola, na pełną stodołę zboża, na oborę pełną chudoby, na zasobną komorę i uskładane w skrzyni pieniądze, westchnął i mówił do siebie:

— Dziękuję Ci Panie żeś mi błogosławił w mojej pracy i na starość dał tyle że mi niczego nie zabraknie i niczyjej nie potrzebuję pomocy.

Lecz po chwili ze smutkiem znów mówił:

— Lecz komuż ja to zostawię, mój Boże! Nie dałeś mi syna, którego tak pragnąłem.. Przyjdzie może obcy do mej

chaty, roztrwoni mienie, zniszczy rolę — i cały mój dobytek pójdzie z wiatrem jak ze złym duchem i do niecnych rąk się dostanie...

A gdy raz z tą myślą wyjawił się przed swą żoną — ona go pocieszała i mówiła, że przecie ma dwie córki i one to dostaną na wiano. Jacenty na to odpowiadał:

— Tak prawda, kocham ja moje córy serdecznie, patrzę na nie gdyby na dwie gwiazdy co mi świecą w życiu, lecz kto wie jakich one dostaną mężów, może jakich nicponiów, próżniaków, co tylko ożenią się dla majątku, aby go przetrwonić i zniszczyć — i po śmierci przyprowadzą moje córki do nędzy i poniżenia! O nie daj Boże tego!...

Lecz to tylko czasami przychodziły Jacentemu takie smutne myśli, bo praca i zajęcie koło domu rozrywały i odganiały złowieszcze przypuszczenia — a gdy spojrzał na swe córki, to radowało się serce jego i wesołem okiem wpatrywał się w nie jakby na najdroższe klejnoty, i cichą modlitwą dziękował Bogu że mu tyle dał pociechy.

Obydwie córki Jacentego były to już dorosłe i hoże dziewczęta Starsza Kasia, wesoła jak młoda koteczka, rumiana, ładna jak różyczka, to też bardzo ją lubieli rodzice. Zosia, chociaż nie była tak ładną i wesołą jak Kasia, ale spokojna i miła dziewczyna, więcej przy pracy czas spędzała niż w domu przy rodzicach. Kasia była nawet najpiękniejszą dziewą w całem siole, więc zwracała na się oczy wszystkich chłopców a do tego posażna, bo rola i mienie na nią spadały. I ona też lubiała się bardzo bawić, a nawet hulanka więcej była jej w głowie niż praca. To też gdy tylko muzyka była w karczmie, to ona zaraz uprosiła ojca o pozwolenie, chociaż Jacenty opierał się temu, odradzał, ale zawsze uległ prosbie i błaganiom córki, bo pod tym względem słabego był serca i nie chciał córce niczego odmówić. Do tego po części przyczyniała się i matka, mówiąc, niech się zabawi póki młoda, bo później jak się zestarzeje nie będzie się bawiła. Tak z miłości wielkiej ulegał zawsze Jacenty woli córki i matki. I to było największą wadą Jacentego, bo choć wiedział i ganił takie w karczmie zabawy,

jednak nie miał siły stanowczo oprzeć się temu i zabronić córce raz na zawsze udawania się do karczmy na tańce.

Zosi zaś zabawy nie ciągnęły, ani ją nie brała ochota do tańca, ona więcej była pobożną i pracowitą, i zamiast hulanki wołała się pomodlić, odpocząć — a nawet ganiła nieraz siostrze takie jej hulaszcze życie, lecz ta jej słuchać nie chciała i z gniewem odpowiadała:

— Tobie nic do mnie, ty rób swoje i mów pacierze.. a ja będę się bawiła..

Tak też i robiła – a gdy jej kiedy ojciec odradzając nie chciał pozwolić, to ona cichaczem uciekła — byle tylko się wyhulać. Parobczaki nieraz mało się nie pobili między sobą z zazdrości o nią, bo każdy chciał z nią tańczyć — lecz ona najbardziej lubiła hulać z Jankiem. Janek bowiem był wesołym i tak jak ona więcej ochoczym do tańca i zabawy niż do pracy a do tego dorodnym i chwackim chłopakiem a chociaż był biednym i miejsca nigdzie długo nie zagrzał, bo przechodził często z służby od jednego do drugiego gospodarza i co zarobił to przehulał, jednak Kasia go nad wszystkich lubiała. Janek także z żadną nie tańczył tyle co z Kasią W krótkim czasie ludzie mówili głośno że Janek do Kasi się zaleca, że niedługo wyszle w swaty do Jacentego, tak że to doszło do uszu ojca Kasi. Lecz Jacenty gdy tylko usłyszał o Janku mówił z gniewem:

— O nigdy nie wydam mej córki za takiego próżniaka i hulakę, o nie doczekanie jego abym w dom przyjął takiego nicponia, co to ni do pracy ni do rady! Nie pragnę ja żeby jaki bogacz z moją córką się ożenił — bo pieniądze to rzecz znikoma — ale chcę człowieka uczciwego i pracowitego!...

O tem stanowczem postanowieniu Jacentego i tych słowach dowiedział się Janek i ogromnie przykro mu się zrobiło, zamyślił się, stracił dawną swą wesołość — już nawet nie poszedł na muzykę chociaż go tam bardzo ciągnęło, lecz rozmyślał nad sobą, wreszcie rzekł do siebie:

— Słuszną prawdę mówi Jacenty że mię tak nazywa — bo taka hulanka do niczego dobrego nie prowadzi. O już takim nie będę — pójdę do Jacentego, rzucę mu się do nóg i przyrzeknę mu swoją poprawę — i znowu się namyślił, poczem powiedział

do siebie: tego nie zrobię, bo nie uwierzy na słowo, jeszcze do tego gdy jestem biedny, wszystko przehulałem — lecz przekonam go czynem, pójdę w świat i będę pracował!...

I jak postanowił tak zrobił, pożegnał Kasię i prosił ją żeby nie chodziła na hulanki i na niego czekała i nie poszła za mąż aż on powróci za rok, dwa z zapracowanym groszem a wtedy Jacenty przekonawszy się o jego zmianie na dobre przyjmie go za zięcia — i będą oboje szczęśliwi, i poszedł w świat.

Tak porzucił Janek hulaszcze życie i wziął się szczerze do pracy, w zimie chodził na wymłot, na wiosnę na orkę, a co zarobił to składał, ani grosza nie puścił marnie. Zamiast do karczmy na hulankę poszedł do kościoła, podziękował Panu Bogu za zdrowie i szczęście jakie mu służy w pracy.

Kasia z początku tęskniła za Jankiem, bo żaden tak dobrze nie hulał jak on i nikt nie umiał tak ją rozweselić jak Janek — lecz przyzwyczajona do hulanki nie mogła się od niej odzwyczaić. Tak to zawsze bywa gdy nie umiemy zapanować nad sobą i tego nałogu czyli kusiciela od siebie stanowczo odpędzić. A takie hulaszcze, bezmyślne życie nietylko na bezdroże rozpusty ale do najgorszego złego człeka zaprowadzi. Kasia nie mogąc się odzwyczaić od tańca, nie przestawała chodzić do karczmy na muzykę i pomału zapomniała o Janku. Minął rok jeden i drugi, Kasia się bawiła i hulała i ani jej przez myśl przyszło że Janek gdzieś pracuje i myśli o niej i weselisku. Siostra jej wymawiała i perswadowała lecz ta zawsze z gniewem jej odpowiadała:

— Tobie nic do mnie — ty chodź sobie na nieszpory — a mnie niemasz co rozkazywać!

Ojciec i matka odradzali lecz to nie pomagało, bo za wiele ją kochali a za słabe mieli serce by jej stanowczo zabronić i zakazać.

Tak minęło lat dwa, a było to w jesieni, oddział wojska przechodził przez wieś i tam miał przenocować a nazajutrz odejść do miasta.

Kasia stała nad stawem i spoglądała to na wojsko idące, to na głębię stawu. Żołnierze jej się podobali bardzo w mun-

durkach i z szabelbami; w stawie zaś odbijało się słoneczko w zwierciedle wody widziała siebie obok słońca jak gdyby królową wód otoczoną blaskiem promieni i stojącą na słonecz-inym tronie Spoglądając w głębię stawu mówiła do siebie:

— Jaka ja piękna, najładniejsza z całego sioła!...

Lecz usłyszawszy z dala muzykę w karczmie pobiegła tam zaraz na hulankę. W karczmie byli już żołnierze i po chwili odpoczynku zabierali się także do tańca. Kasia pierwsza poszła z nimi w tany i jeden żołnierz starszy z trzema gwiazdkami u kołnierza jak wziął ją do tańca tak już nie odstąpił drugim, tylko cały wieczór z nią hulał i rozmawiał, a mając pieniądze częstował napojem i namawiał ją by wieś porzuciła i poszła z nimi do miasta, gdzie tak jest ładnie i wesoło, a muzyki codzień grywają — wszędzie zabawy i rozkosze. Kasia była tem wszystkiem oszołomiona i słuchała i wierzyła wszystkiemu.

O tej porze w chacie Jacentego inna odbywała się scena. Janek z utęsknieniem powrócił do sioła i przyspieszając kroki wszedł z radością i uszczęśliwieniem do chaty Jacentego, który odmawiał pacierze i już miał udać się na spoczynek by nazajutrz z odżywioną siłą brać się do pracy. Janek wszedłszy do chaty pochwaliwszy Pana Boga rzucił się do nóg Jacentemu mówiąc:

— Ojcze, oto leży u nóg twoich nie ten Janek próżniak i hulaka, ale zupełnie już inny człowiek i błagam cię byś mię przyjął za zięcia!..

Jacenty kazał mu wstać i sam go podnosił z ziemi. Janek wyjął z skórzanego pasa zwitek pieniędzy i pokazując je Jacentemu rzekł:

— To są pieniądze zapracowane pomiędzy ludźmi przez ten czas — wystarczą one na rolę i chatę — tylko nie odmówcie mi swojej córki — Kasi!

Jacenty rozrzewniony poprawą i szczerością Janka odrzekł:

— Mój kochany nie cieszą mię tak te pieniądze ile twoja poprawa — bo człowiek uczciwy i pracowity choć biedny zawsze wyżyć może, zaszanować mienie i godnym być czło-

wiekiem, ale próżniak i hulaka żeby miał jak największe bogactwa, to przetrwoni wszystko i zejdzie na nędzę i pośmiewisko ludzkie a co gorsza gdy pieniędzy niestarczy to i złych rzeczy się chwyci. Chodź tu synu, niech cię uściskam! i uradowany Jacenty ze łzami w oczach przycisnął Janka do serca jako swego syna.

— Jak się masz Janku! — zawołała siostra Kasi — nigdybym cię nie poznała, takeś spoważniał.

Przywitała go szczerze także i matka Kasi. Janek rozglądał się za Kasią i zapytał o nią.

— Zaraz ją zawołam — odezwała się siostra Kasi i wybiegła z chaty.

Janek domyślał się gdzie ona się znajduje i niespokojny za chwilę wyszedł także z chaty i spieszył do karczmy.

W karczmie hulali żołnierze i Kasia z nimi. Zosia nie śmiała wejść do środka i kazała Kasię wywołać, lecz ta nie chciała nawet wyjrzeć i odpowiedzieć siostrze. Wtem wbiega do karczmy Janek, roztrąca żołnierzy i chce zbliżyć się do Kasi, lecz odepchnięty i oszturkany woła ze złością i groźbą.

— Puśćcie i oddajcie mi moją Kasię bo was tutaj...

Lecz żołnierze nie dali mu dokończyć słowa i zaczęli go obijać i pałaszami wywijać, nawet jeden go zranił w rękę szablą. Wtem wcisnęła się w środek ucierających się Kasia i powstrzymała bitkę mówiąc!

— A skąd to ja twoją, czy ja z tobą ślub brała?!

Janek wypatrzył się na nią zdziwiony i rzekł:

— Czyż nie poznajesz Janka?

— Owa, niejeden Janek na świecie! — odrzekła ze śmiechem Kasia.

Słowa te zraniły serce Janka i więcej go to bolało niż zadana rana od szabli żołnierskiej i odrzekł rozżalony i rozzłoszczony:

— Kiedy tak, to bawcie się — nie jesteś godna, bym się o ciebie ubijał! — i wyszedł z karczmy.

Zosia powróciła do domu, lecz zamilczała przed ojcem o tem zajściu nie chcąc go martwić. Janek przez całą noc chodził po polu i wyklinał na karczmę i muzykę.

Do późna w nocy żołnierze hulali i namawiali Kasię żeby z nimi szła do miasta. O świcie wyruszyli w dalszą drogę — i Kasi już nie było w siele.

Gdy się Jacenty o tem dowiedział, zapłakał gorzko nad dolą swej córki — i razem z Jankiem pospieszyli za żołnierzami do miasta by wyszukać Kasię — lecz nadaremno szukali i powrócili z niczem. Jacenty tak się tem zmartwił że aż zachorował niebezpiecznie i nie było już ratunku dla niego. Przywołano księdza i po spowiedzi zawoławszy do siebie Janka rzekł:

— Zapomnij o tem mój chłopcze, tyś godzien lepszej żony, oto mam drugą córkę, poczciwą, pobożną i pracowitą Zosię, będzie ona dobrą żoną i gospodynią, a ty będziesz miał opiekę nad nią i jej matką. — Chodźcie tu oboje, niech was pobłogosławię... — i konając pobłogosławił ich oboje — poczem skończył.

Pochowano z żalem Jacentego — a wkrótce potem ksiądz dał ślub Jankowi z Zosią i odprawiono ciche bez muzyki wesele.

Za Jacentym poszła nie długo na tamten świat i matka Zosi.

O Kasi nie było ani słychu. We dwa lata przyszła była wprawdzie do sioła, lecz nie śmiała zbliżyć się do ludzi i z dala tylko patrzała na swą rodzicielską chatę przed którą siedziała właśnie Zosia trzymając na ręku ślicznego jak aniołek synka, obok niej szczęśliwy Janek odpoczywał po pracy. Kasia ujrzawszy ich, załamała ręce i z żalem wielkim pobiegła nad staw nad którego brzegiem stojąc spoglądała w głębią, w której widziała siebie ale już nie tak piękną jak dawniej i rzekła do siebie:

— O jakaż ja brzydka, o jeszcze brzydsze moje sumienie!... — i zapłakała gorzkiemi łzami — tak stała chwil kilka zrozpaczona — a później znikła i nie było po niej śladu.

* * *

W kilka lat później zjawiła się w siole jakaś żebraczka i siadywała przed kościołem. Nie była to jeszcze stara latami, ale już przedwcześnie zmarniała, zgrzybiała i schorowana kobieta. Do tego nie była tak jak inne natrętna w proszeniu

o jałmużnę — brała to co jej dano a modliła się gorąco — może nie tak za drugich jak za siebie. Do chaty Janka nie zaglądała nigdy i nikomu nie mówiła kto i skąd jest, i nikt jej nie znał ani mógł poznać. Tak minęło lat parę, i przez ten czas siadywała wciąż przy kościele owa żebraczka — latem sypiała przy cmentarzu lub gdzie na polu, zimą gdzie w przysionku. Ludzie zaczęli już szemrać i mówić że to czarownica i chcieli ją wypędzić z sioła. Lecz jednego razu nie pojawiła się przed kościołem — zaniemogła śmiertelnie, a widząc że już nie długo jej życia, kazała się zanieść do chaty Janka. Gdy ją tam przyniesiono, rzekła do Janka i Zosi:

— Zmiłujcie się nademną, przyjmcie mię do siebie!...

Janek i Zosia przyjmując żebraczkę, odrzekli:

— A dla czegóż nie — biednego Pan Bóg nakazuje ratować. Czegóż wam potrzeba może co zgotować, jakiego chcecie, ratunku?

— Księdza zawołajcie — rzekła słabym głosem i położyła się na przygotowanej pościeli.

Ksiądz przyszedł i spowiadał długo, dał świętą komunię i ze łzami w oczach odchodził. Potem żebraczka zwróciwszy się do Janka i Zosi i rzekła przyciszonym głosem:

— Janku, Zosiu nie poznajecie mnie?

— O dla czego nie — odrzekli — przecież od lat tylu siadujecie przy kościele — któżby was tu nie znał...

— Oh! tak! — westchnęła żebraczka — nie poznaliście mnie, a ja taka wam bliska sercu i krewna — jam Kasia, Janku, jam siostra twoja Zosiu

Janek i Zosia wypatrzyli się mocno zdziwieni i zapłakali oboje nad jej dolą i z wielkiem zajęciem zaczęli się krzątać wołając o ratunek dla chorej — lecz ona odrzekła:

— Nie ma już dla mnie ratunku — dla mnie śmierć jest największem szczęściem — o ja nieszczęśliwa. Tylko jedną mam do was prośbę: Przebaczcie mi, przebaczcie!.

— Przebaczamy ci, przebaczamy — odrzekli Janek i Zosia — lecz nie rozpaczaj, będziesz żyła, posełamy po doktora.

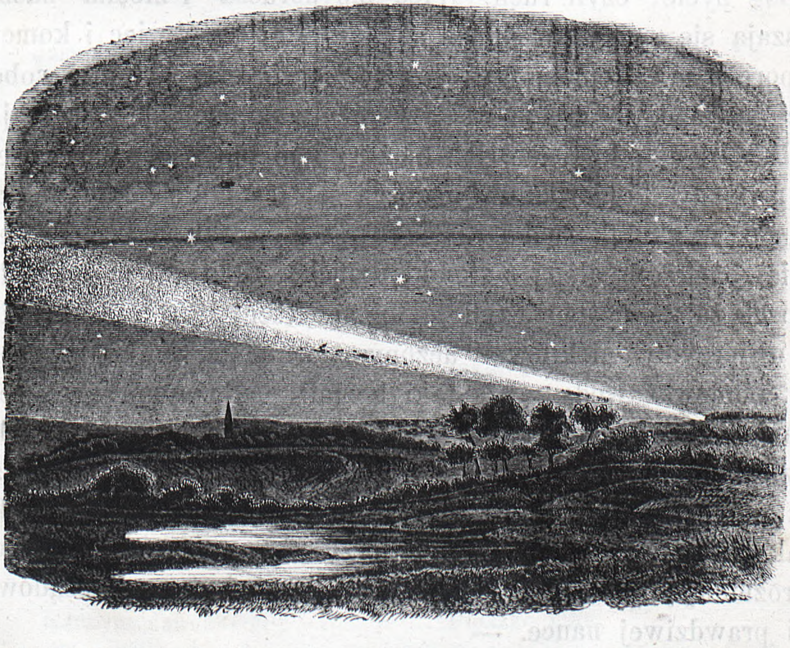
— Teraz umrę spokojna — niech was i wasze dzieci Pan Bóg błogosławi — i skończyła nie dokończywszy słowa.

Janek i Zosia zajęli się pogrzebem i płakali nad losem nieszczęśliwej. Nad grobem przemówił ksiądz do odprowadzających zwłoki Kasi.

— Oto chowamy ciało najpiękniejszej niegdyś w całem siole dziewczyny, która przez hulaszcze życie poszła na bezdroża zepsucia i rozpusty i za kilka chwil złudnej rozkoszy odpokutowała gorzko długie lata ciężkiej doli i kalectwa. — Zaczęła żyć przy muzyce i hulance a skończyła w największej nędzy i nieszczęściu, niepokoju i wyrzutu sumienia!... Miejcie więc przykład na niej i oprzyjcie się z początku pokusie złego ducha który was ciągnie do marnego hulaszczego życia. W pracy i pobożności, w cnocie i obowiązkach rodzinnych i domowych szukajcie pociechy i szczęścia — a Pan Bóg błogosławić będzie!... *Józef z Medyki.*

# Kometa

Kiedyś nie kiedyś, a nawet bardzo rzadko okazuje się na nocnem niebie gwiazda, która za sobą ciągnie cały pęk jasnych



promieni. I straszą się zaraz ludzie, trwożliwie patrzą na niebo a matki i mamki pokazują dzieciom tę rózgę na niebie. Taką

to gwiazdę, podobną do miotły lub rózgi, nazywają w uczonym, a teraz i w nieuczonym świecie kometą. I cóż to jest taka gwiazda, i skąd się wodzi po niebie z ogonem?

— Pokrótce wam opowiem.

Bóg nasz Najwyższy w pracy swej około świata nie wypoczywa, rąk nie zakłada, lecz ciągle jest czynnym i ciągle nowe światy, nowe gwiazdy stwarza. Stwarza jednak światy te nie od razu doskonałemi, lecz chce, by do doskonałości zdążały. Takiemi to niedoskonałymi światami, niedoskonałemi jeszcze gwiazdami, są komety. Nie są one jeszcze krągłe, jak inne gwiazdy, ani nie posiadają tak twardej materyi, jaką jest n. p. ziemia nasza. Znajdują się one dopiero w powstaniu i w kształceniu się. Materya, z której powstają jest lekką i przeźroczystą, może nawet lżejszą i przeźroczyszstą od naszego powietrza. — Całe zaś życie — nieprawdaż? zależy na ruchu. Człowiek żyje, a więc się rusza, a ponieważ się rusza, więc żyje. Roślina rośnie więc się rusza, a jeśli rusza więc żyje. Takie to życie jest także w wszechświecie — światu całemu dał Bóg życie, czyli ruch. Więc się porusza i ziemia nasza, poruszają się gwiazdy i słońce się porusza Otóż więc i komety się poruszają. Kometa zaś jest to gwiazdka młoda wobec innych gwiazd, — młode zaś stworzenia prędzej się poruszają, aniżeli stare, — kometa więc bieży po niebie szybciej, aniżeli inne gwiazdy. Ponieważ zaś materya jej jest tak cieńka i lekka, więc się w skutek ruchu rozciąga ot n. p. tak, jak, jeżli kto mocniej bańkę mydlaną z słomki dmucha. Stąd zatem pochodzi jej rozciągnięta postać, czyli jej ogon. Rzeczy tej nie zmienia, jeżli uwierzymy niektórym uczonym, że materyą komety jest woda, ponieważ woda także taki kształt podłużny przybrać jest w stanie. — Z tego też twierdzenia powstało mniemanie, jakoby w razie, gdyby się kometa do ziemi zbliżyła, miał na tejże ziemi potop powstać, czyli, żeby ta kometa ziemię zalała. Jestto jednak mniemanie ludzi takich, którzy rzeczy tej o gwiazdach nie rozumieją i wierzą bardziej jakiemukolwiek przesądowi, aniżli prawdziwej nauce. —

Tak też mamy bardzo wielu przesądnych, a mało uczonych. Gdy się taka kometa ukaże, zaraz wietrzą wojnę, głód, morową

zarazę, szarańczę i t. p. — A dlaczego? Dlatego, że tam kiedyś raz się zdarzyło, że wojna była w tym roku właśnie, w którym kometa była widna na niebie. Cóż to, czy gwiazda ludzi na ziemi za łby wodzi? — Częściej się jednak zdarza, że te wojny, o których ludzie, gdy widzą kometę, bają, kończą się na bitwie parobczaków w karczmie. No, jeżli taką wojnę ma zwiastować kometa, to się na to zupełnie godzę. Wszak takie wojny po karczmach i szynkach sam księżyc i nasze codzienne słońce zwiastować potrafią. — Dlategoteż należy się otrząść z podobnych przesądów. — Kto ma przesądy, ten nie ma wiary, a kto nie ma wiary, ten grzeszy. Ludzka bowiem natura, jeżli nie wierzy w coś, albo wierzyć nie chce, tak zaraz brnie gdzieś po jakichś tam urwiskach i wertepach, które właśnie przesądy stanowią. A nacóżbyśmy mieli kaleczyć sobie ciało i nogi łamać po skałach i urwiskach? — Wszak lepiej iść drogą wygodną i prostą. A zatem stokroć lepiej wiernemu, aniżeli przesądnemu! —

# Jaskółka.

Jaskółeczko
Gdzieś gniazdeczko
Ulepiła swoje?
Tu pod strzechą.
Ma pociecho.
Lube ptasze moje.

Tu ci miłe
Płyną chwile,
Słonko ranne budzi;
I od psoty
I od słoty
Od złych wolnaś ludzi.

Tyś pogodna
I swobodna
Gdyby rajskie ptasze,
Wraz z skowronkiem
Rannym dzwonkiem
Witasz pola nasze.

Witasz pola
O Podola
W wczesnej witasz wiośnie
I szczebioczesz
I świegoczesz
Ciągle coś miłośnie!

Gdzieżeś była,
Jakieś żyła
Powiedz ptaszko mała!
Jakie kraje
Obyczaje
W obczyźnieś widzała!

Powiedz miła
Cóżeś śniła
Za górami, za wodami?
Czyś tęskniła,
Ptaszko miła,
Czyś tęskniła tam za nami?

*Rodosław.*

# Kret.

Pisaliśmy wam już często w naszym Dzwonku o krecie, powiedzieliśmy, że jest bardzo użytecznem zwierzątkiem i jego szanować należy. Teraz podajemy wam jeszcze niektóre ciekawe próby, jak to ludzie szanują to zwierzątko i jak się starali przekonać że jest użytecznem. Spodziewamy się że każdy, kto to nasze pisanie przeczyta nie będzie już dla głupiego zabobonu zabijał tego zwierzęcia.

Ogrodnik w Wrocławiu, wpuścił do szkółki drzew szyszkowych tuzin kretów, a te w krótkim czasie wyjadły wszystkie pędraki których przedtem mnóstwo było w ogródku, tak że wszystkie drzewka były by uschły. Niejaki p. Steudel miał w lecie 1867 r. dotkliwe szkody w szkółce drzew i krzewów szyszkowych. Na wiosnę 1868 r. rozpuścił w ogrodzie swoim 40 kretów a tam gdzie przedtem z łatwością 30 pędraków w przeciągu godziny dało się zebrać, po rozpuszczeniu kretów w trzech dniach nie znaleziono więcej ani tuzina a przy ryciu i przekopywaniu, tudzież przy obcinaniu brzegów trawniku w lipcu nie było już ani jednego pędraka. Wojciech Ferstenling ogrodnik zobaczył przy czyszczeniu szkółki drzewek zajmującej morg, że u wszystkich drzew korzenie ciensze i grubsze były podgryzane, tak że za wierzchołek każde jak palik było można wyciągnąć z ziemi. Pokazało się że sprawcami tej szkody były pędraki. Przekopano tedy całą przestrzeń na 2 stopy głęboko, drzewka usunięto i wpuszczono 21 kretów. W jesieni, gdy powtórnie ów ogródek przekopano, nie było ani jednego pędraka. W ogrodzie pewnym uczyniono następujące doświadczenie. Na przestrzeni zajmującej 48 stóp kwdr. wybrano ziemię na 3 stopy w głąb, ściany dołu i dno obłożono szczelnie dylami tworzącemi skrzynię wystającą jeszcze stopę po nad ziemię. Tę skrzynię napełniono ziemią poprzednio wykopaną i całą przestrzeń zasadzono krzewami. Gdy te już się zupełnie przyjęły, rozłożono na tej przestrzeni 140 pędraków i tyleż dżdżownic (glist) które się natychmiast zaryły. Po niejakim czasie, wpuszczono kreta. Po upływie 34 godzin ziemię z skrzyni wybrano zupełnie i przesiano przez gęste sito druciane, na którem musiały się zatrzymać dżdżownice i pędraki. Zna-

leziono tylko 17 pędraków, między niemi 2 do połowy zjedzone, dżdżownicę tylko 1. W 34 godzinach zatem zjadł kret 130 dżdżownic i 123 pędraków. Ziemia w skrzyni była poprzerywana gankami kreciemi. Doświadczenie to zrobiono pod nadzorem komisji, przez Towarzystwo ogrodnicze umyślnie w tym celu ustanowionej. Jak w naszym kraju ogrodnicy i nieogrodnicy postępują z tak pożytecznem zwierzątkiem, jakiem jest kret, każdemu wiadomo. Są nawet miejsca, gdzie za każdego zabitego kreta płacą jak np. w dobrach łańcuckich gdzie pędraki rok czy dwa lat temu zniszczyły obszerną szkółkę drzew owocowych. Indziej, jak np. przy folwarku w Budzowie (w Wadowickiem) zabite krety wieszają za ogonki u drzew w sadzie, ażeby każdy przejeżdżający lub idący tamtędy wiedział i widział, ile to rozumu mieści się w tym niby dworku).

---

# Rozmaitości.

— *Poczciwy kowal.* Mieszkańcom miasta Wielunia długi czas dziwną się wydawała szczególna zapobiegliwość kowala, człowieka bardzo trzeźwego i oszczędnego, który lat temu kilkanaście, przez ciąg kilku miesięcy do bardzo późnej nocy w kuźni swojej pracował.

Następująca okoliczność zapozna nas z nim bliżej.

Nieboszczyk Pan Bartochowski wdzięcznie dotąd wspominany w Wieluńskiem jako obywatel zacny, bawiąc chwilowo w Wieluniu, przechodził raz w noc późną około kuźni jego, a słysząc go robiącego, chciał wiedzieć, co go zatrzymywało tak długo przy warstacie i czy nie mógł się utrzymać z zarobku dziennego bez nocnej pracy i trudu?

— „Nie dla siebie ja to robię, odpowiedział kowal, ale dla mego sąsiada, który pogorzał. Idę spać później dwiema godzinami, i o tyle raniej wstaję, abym dał temu nieszczęśliwemu dowód mego przywiązania. Gdybym posiadał coś zbywającego nad to, co wraz z swoją familią potrzebuję, podzieliłbym się z nim chętnie, ale mam tylko to kowadło, a sprzedać go nie mogę, gdyż z niego żyję. Bijąc w nie dłużej cztery godziny, to czyni na tydzień dwa dni, których zarobek mogę przyjacielowi ustąpić. Bogu dzięki! nie brak roboty w tej porze, a mając ręce zdrowe, należy ich używać na poratowanie bliźniego.“

— „Tó bardzo wspaniale z twej strony, rzekł pan Bartochowski, bo według wszelkiego podobieństwa sąsiad nie odda ci tego nigdy.“

— Niestety! boję się o to bardzo nie dla siebie, ale dla niego; lecz jestem pewny, żeby i on to samo dla mnie w potrzebie uczynił.“

Nazajutrz, wywiedziawszy się lepiej w miasteczku o uczciwem życiu kowala, odłożył sobie 600 złotych i udał się do niego chcąc nagrodzić jego dobroczynność i dać mu sposobność kupowania żelaza z pierwszej ręki, oraz przedsiębrania większych robót, a tym sposobem zaoszczędzenia sobie nieco pieniędzy na starość. Ale jakże się zdziwił, gdy kowal mu odpowiedział:

— „Nie mogę przyjąć tych pieniędzy, a to dla tych powodów. Jestem w stanie kupować żelazo, którego potrzebuję, a w przypadku kupiec da mi na poczekanie. Byłaby to więc wielka z mej strony niewdzięczność, gdybym chciał kupca tego pozbawić sprawiedliwego zysku na jego towarze, kiedy on dostarczył mi go za sto talarów wtenczas, gdy miałem tylko jedną suknię na sobie za cały majątek. Łaskawy pan możesz lepiej użyć tych pieniędzy; pożycz je pan bez procentu nieszczęśliwemu pogorzelcowi, memu przyjacielowi: on będzie mógł tym sposobem poprawić swoje interesa, a ja sypiać, ile potrzebuję dla pokrzepienia sił moich.“

Pan Bartochowski, nie mogąc nakłonić żadną miarą tego cnotliwego i prawdziwie zacnego człowieka do przyjęcia pieniędzy, wykonał jego radę i tym sposobem dwóch ludzi uczynił szczęśliwymi.

---

## Dodatek polityczny.

Austrya. Przed kilku dniami zakończyła Rada państwa swoje czynności, jeżli to, że została odroczona, zakończeniem czynności nazwać można. A było tyle jeszcze do czynienia! Wniosek Sejmu naszego, czyli rezolucya, poszła sobie znowu w kąt, chociaż dawniejszy prezes naszych posłów w Wiedniu p. Grocholski ministrem został, i chociaż nasi posłowie ministrów na każdym kroku bronili. Nie myślcie jednak, jakoby pp. ministrowie nam byli tak nieprzychylni, gdzietam, to panowie Niemcy, jak zobaczyli, że ziemia się im z pod nóg usuwa, że narody nie chcą się im dawać nadal za nos wodzić, że się ich rządy skończyły, zaczęli Rządowi i wszystkiemu co nie Niemiec, najrozmaitsze figle płatać. I tak, gdy Rząd zażądał pieniędzy na opędzenie kosztów państwa, czyli, jak to się wyrażają w Sejmach i Radach, gdy przedłożył budżet, to się Niemczyska nasrożyły, pomarszczyły czoła i chciały odmówić żądaniom ministrów, o których sam Cesarz powiedział, że posiadają Jego najwyższe zaufanie. Podobnie się stało, gdy zażądano wprowadzenia nowych 25 pułków konnicy; — Rząd

chce, ażeby wojsko zostało wzmocnione i powiększone, a to dlatego, ponieważ Austrya ma za sąsiadów prusaka i moskala, którzy obaj mają niezły apetyt na austryackie kraje. Austryackim zaś Niemcom przewróciło się w głowie. Im się zdaje, że dla ich zbawienia potrzeba się jak najprędzej dostać do prusaków, i że im u tychże będzie, jak u Pana Boga za piecem. Dlatego nie chcą, ażeby Austrya miała wojsko, bo to wojsko mogłoby poturbować ich kochanych prusaków, nie chcą silnego wojska, bo by mogło pobić moskali, największych przyjaciół prusaków. A im się tak tęskni do tego zbawienia! — Zapytacie zapewne, dlaczegoto moskale tak się z prusakami kochają. Otóż łatwo to zrozumieć. Oni to rozerwali naszę Ojczyznę w r. 1772, a więc sto lat temu, podarli Jej szaty, a ponieważ Austrya była wówczas bardzo silną, więc dali i jej kawałek, w którym my właśnie mieszkamy. Teraz im żal za tym kawałkiem, za tą Galicyą a moskal czyha na to, ażeby się uzbroić i ją dla siebie zabrać. I zobaczylibyśmy w naszym kraju największą plagę boską. Stanęłyby znowu na naszych polach szubienice, na którychby braci naszych wieszano, obijano by nasze matki siostry, żony nahajkami, palonoby nasze chaty i zagrody a w ich pożar rzucałyby te dzikie potwory żywcem dziatki nasze. I te dzikie moskale mają za przyjaciół prusaków! A dlaczego? Bo prusak to samo potrafi, a korcą go niemieckie kraje w Austryi. Stąd ta przyjaźń. Zdziwicie się dlatego, że takie potwory mogą mieć u nas przyjaciół, a przecież tak jest. Są nimi nasi Niemcy. Dlatego to, odmawiają podatków i pieniędzy, odmawiają żołnierzy i zdradzają Cesarza i kraj swój, swoję Ojczyznę. Nas właściwie to nic obchodzić nie powinno. Wszak my Polacy straciliśmy nasze państwo, a ci trzej, co nas zabrali, t. j. Prusak, Moskal, i Austryak, wszak to nie nasi bracia, ani nasi ojcowie. Powinnością jednak jest naszą, strzec naszego narodu, gdyż narodu naszego polskiego nie straciliśmy. A najlepiej jeszcze części naszego narodu w Austryi się powodzi. Dlategośmy powinni Austryi bronić, bo będzie z nami tak, jak z braćmi naszymi pod moskalem, których wieszają i mordują przy każdej sposobności; powinniśmy bronić Austryi zawsze z nadzieją w sercu, że Bóg się zmiłuje

naszej krzywdy i powróci nam naszą ukochaną Ojczyznę. Tej też zasady trzymali się nasi posłowie we Wiedniu i stali zawsze po stronie Rządu, a zatem po stronie Cesarza. Niemcy się za to pomścili i wniosek naszego Sejmu, który sam Rząd Radzie państwa przedłożył, zatrzymali w komisyi między sobą i nie dali zeń sprawozdania.

Na drugi miesiąc, jak się zdaje, zostanie nasz Sejm zwołany.

Francya. Jakoś ciągle i zawsze do biednej Francyi wracać nam wypada! — Paryż zajęły wojska rządowe i zastały tam popalonych gruzów wiele. Mściły się i zabijały gwardzistów i niegwardzistów, mordowały wielu niewinnych. Ochłonęły wreszcie te wojska z swego szału i brały żywcem do niewoli. Pan Thiers tych jeńców kazał powywozić do nadmorskich miast, w których powstały rozmaite zarazy i mory, wskutek czego bardzo wielu jeńców pomarło. Reszta czeka albo kuli, albo szubienicznego powroza, albo wydalenia z Ojczyzny, albo długoletniego więzienia, a tylko bardzo mała liczba ma nadzieję na łaskę u swych braci. — Ale i oczem innem p. Thiers miał czas do myślenia. Podobałoby mu się, gdyby tę Francyą mógł zatoczyć w ubiegłe stulecie i dać jej króla. Podobałoby mu się, by na królewskim dworze znowu majątki narodowe w karty przegrywano, przepijano, i przetańczano, a córki francuskie ażeby znowu nie były pewne swojej czystości i niewinności. Lecz to mu się, jak się zdaje, nie uda. Teraz bowiem były uzupełniające wybory, mianowicie w Paryżu. W tem mieście, które tak jest nieszczęściem prześladowane, przecież się tacy znaleźli, którzy wiedzą, jak Ojczyznę kochać. Dlatego też wybrali tylko takich, którzy będą dobra i honoru Francyi strzegli, między nimi pp. Wołowskiego Ludwika i Leona Gambettę. — Wołowski jestto rodowity Polak, który już długi czas w Francyi przemieszkiwa i jest sławnym profesorem. O panu Gambecie nie potrzebuję Wam pisać, znacie go bowiem jeszcze z dawniejszej wojny i wiecie, że to jest najszlachetniejszy mąż i prawy Francuz. Ci nie dopuszczają, ażeby p. Thiers robił, co mu się podoba.

---

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.